

Bazelicek na rowerze

Oczywista prawda, że wojna oprócz nieszczęść przynosi postęp cywilizacyjny, potwierdziła się również w naszej wsi. Takim postępowaniem cywilizacyjnym stała się dostępność roweru. Przed wojną rower na wsi nie był traktowany jako środek lokomocji lecz jako pojazd służący rozrywce dla państwa z miasta. Czasem widziało się eleganckiego pana doktora lub kierownika poczty ze Stacji w pumpach zmierzającego w pogodną niedzielę do kościoła. Wtedy ich żony z dziećmi jechały za takim cyklistą wynajętą bryczką. Posiadać rower na wsi to tak jakby trzymać konie cugowe oprócz koni roboczych. Na taki luksus mogli sobie pozwolić niektórzy dziedzice z sąsiednich majątków.

Zaraz po przejściu frontu Bazelicek kupił od Ruskich za dwa litry bimbru rower dla synów. Pędzenie tego trunku z ziemniaków było na wsi powszechne, gdyż w tak niepewnych czasach (jeszcze za Niemców), pieniądź miał znaczenie tylko teoretyczne i od wielu miesięcy podstawowym środkiem płatniczym był bimber, tak w handlu z Niemcami, od nich można było za bimber kupić wolność, a niekiedy nawet i życie, jak i potem w handlu z Ruskimi – od nich kupowało się różne dobra wywożone z Niemiec. Waluta „twarda” nie była w naszych sferach ani znana, ani dostępna. Przelicznik zbożowy, który był stosowany w wymianie wewnątrzwiejskiej, jako zbyt objętościowy środek

płatniczy nie nadawał się do handlu z kontrahentami z zewnątrz. I pomyśleć, że już wtedy chłopci nie zdając sobie z tego sprawy stosowali zasady w przyszłości zwane naukowo wymianą barterową.

Wiosną czterdziestego piątego przetaczały się przez naszą wieś tabory wojsk wiozące różne „trofiejne” dobra i pędzące stada bydła na wschód. Pewnego razu, dość późnym wieczorem do Bazelicków podjechało ciężarówką kilku żołnierzy z zamiarem zanocowania. Załoga poczuła gwałtowną potrzebę obniżenia zawartości krwi w krążącym w naczyniach swego ciała alkoholu i zażądali samogonu. Zapłacą. Oczywiście wietosiepiodom. Taka wymiana handlowa z natury rzeczy skazywała kupującego na stratę. Rusczy dadzą wieczorem rower a rano i tak go zabiorą. Istniała wprawdzie iskierka nadziei, że rano cierpiąc na zespół „drugiego dnia” zapomną o transakcji handlowej. Taka iskierka rozpałała się dla Bazelicka. Rusczy wezwani przez umyślnego pościańca opuścili kwaterę w stodole w czasie spożywania drugiej półlitrowki. Rower zapobiegliwie schowany w chlewie zamaskowany snopkami słomy pozostał u nabywcy.

Wszystkim wiadomo, że rower jest przedmiotem pożądania dzieci a zwłaszcza chłopców. Była to balonówka, to znaczy rower o bardzo szerokich oponach, przydatny zwłaszcza do jazdy drogami tłuczniowymi. Zostałem dopuszczony przez dwu Bazelickowych synów nie tylko do podziwiania tego

przedmiotu chłopięcych marzeń, lecz także mogłem poprowadzić wokół podwórza a w końcu nauczyć się na nim jeździć. Ponieważ byłem chłopcem małej postury i siodełko sięgało mi prawie do brody, musiałem opanować technikę jazdy pod ramą, mówiło się „pod rułką”.

Kiedy już wprawiliśmy się w jeździe tym pojazdem, przysła kolej na nauczenie dosiadania roweru samego Bazelicka. Nauka odbywała się na podwórzu. Po wielu usilnych próbach upadku z roweru, którym skutecznie przeciwdziałali synowie, uczeń chwycił równowagę, dość sprawnie wykonał kilka okrążeń podwórza i wyjechał na szosę w kierunku centrum wsi. Wyjazd z podwórza i obranie kierunku było wyborem roweru a nie rowerzysty. Bazelicek próbował się zatrzymać, ale wyczuł, że każde zmniejszenie prędkości grozi wywrotką. Na rozległym skrzyżowaniu „pod krzyżem” zawrócił i podążył z powrotem. Nie udało mu się skrócić na drogę do domu. Przejeżdżając obok wjazdu do zagrody pokrzykiwał: – „Złapcie mnie! Zatrzymajcie to diabelstwo!”. Zanim opuściliśmy nasz punkt obserwacyjny na płocie i rzuciliśmy się na ratunek, rowerzysta czując wraz z ograniczeniem prędkości narastanie chwiejnej równowagi, nacisnął mocniej na pedały i nie dał szans ratunkowej pogoni. – „Ale spodobała się tacie ta jazda!” – ucieszyli się synowie. Za chwilę zniknął za zakrętem drogi prowadzącej na Stację, do miejscowości odległej o kilka kilometrów, w której znajdowała się stacja kolejowa – stąd przyjęła się

nazwa Stacja. Dotarł do placu obok budynku dworca i tam udało mu się zawrócić i przyjąć kierunek powrotny. Na szczęście w owych czasach po szosie prawie nie jeździły samochody, a pojedyncze furmanki udawało mu się jakoś omijać. Rowerzysta wzbudzał zainteresowanie tak ze względu na niezwykłość pojazdu, jak i dojrzały wiek nie pasujący według ówczesnych poglądów do roli cyklisty oraz zawijasowy tor jazdy, obecnie uznawany jednoznacznie jako wskazujący „na spożycie”. Jakże chętnie zsiadłby z roweru i zostawił go gdzieś w rowie. Ale jak to zrobić bez połamania rąk i nóg? Okazało się to nader proste. Natrafił na trofiejne stado krów konwojowane przez kilku Ruskich. Jeden z nich uznał, że będzie mu wygodniej pilnować stada jadąc na rowerze. Chwycił za kierownicę poruszającego się stosunkowo wolno pojazdu ochraniając cyklistę przed upadkiem między krowy. Rowerzysta stwierdził ze zdziwieniem, że zsiadanie z roweru jest czynnością dosyć łatwą jeśli uzyska się pomoc od żołnierza wyzwoliciela.

– Ruski wyzwolił mnie od tej piekielnej maszyny – oznajmił radośnie Bazelicek dotarwszy do nas oczekujących na szosie i opowiedział o wyzwoleniu od roweru. Rozstanie z rowerem równało się stracie dwu litrów bimbru, a Bazelicek jako człowiek odchorowujący nawet niewielką ilość wypitego alkoholu nie był entuzjastą tej używki. Był naprawdę wdzięczny wyzwolicielowi.

Nowy pogląd na wystrzał z Aurory

Wspomnienia przeżyć Bazelicka związane z rowerem powróciły w przyszłości i omal nie zaciążyły na mojej dalszej edukacji. W czasie pobierania nauk w szkole średniej należałem do kółka recytatorskiego. W ocenie profesorki od polskiego wypadałem nie najgorzej na tle kolegów. W konkursach zajmowałem zwykle drugie miejsce, za Krzyśkiem, u którego zapłonęła już iskra boża spełnionego w przyszłości aktora. Były to lata podkreślania narastającej wdzięczności narodu polskiego do narodów radzieckich. Wdzięczność wyrażała się organizowaniem różnych akademii „ku czci”.

Miałem deklamować wiersz Lucjana Szenwalda o Armii Czerwonej; cytuję z pamięci: „Wyzwolicielko ludów! O lawino chwały! Armio w szarych szynelach...”. Próba generalna na dwa dni przed występem, recytuję wiersz wkładając w niego maksimum patosu na jaki mnie stać. „Wyzwolicielko ludów; o lawino chwały!” – >Bazelicek pedałuje na rowerze, boi się zatrzymać<; śmiać się chce ale wytrzymam. „Armio w szarych szynelach!” – >Bazelicka wyzwała z roweru pastuch w szynelu bardzo szarym i usmarowanym<. Wybucham śmiechem, koniec recytacji. Zaczynam od nowa. Już bez opóźnienia wybucham śmiechem przy „wyzwolicielce ludów”. Znów powtarzamy. To samo. Profesorka od polskiego a zarazem reżyserka recytatorskiej części akademii (bo jest i część śpiewana) jest załamana. Kolega Tadeusz z ZMP, ma wygłosić okolicznościowy

referat, występuje z krytyką: – „Jak można się śmiać z tak wzniosłych treści?” – „To pewnie trema” – tłumaczy mnie reżyserka. W końcu udało mi się wyrecytować wiersz, ale skoncentrowany na „nieśmianiu się” rozłożyłem interpretację. Co będzie, gdy w czasie występu wybuchnę śmiechem? Lepiej nie myśleć. Pełen winy za zawód jaki sprawiłem, wyjaśniłem profesorce od polskiego skojarzenia wiersza z Bazelickowym rowerem, bo jej można było to powiedzieć. W występie zastąpił mnie kolega Tadeusz wygłaszając wiersz z należnym patosem.

Sprawa recytacji o „wyzwolicielce ludów” nie skończyła się jednak. Krytyka prześmiewcy świętości powróciła na zebraniu koła ZMP, które mimo, że istniało już ponad rok nie mogło się pochwalić osiągnięciami w zakresie proletariackiej czujności. Poddany miążdżącej krytyce przez kolegę Tadeusza prawie żegnałem się ze szkołą. Wtedy uratował mnie Puszkina. Na jakiejś wieczornicy recytowałem jego wiersze po rosyjsku. Moja znajomość rosyjskiego była nieco większa niż przeciętna wśród kolegów. Ten argument przemawiał na moją korzyść. Bo czyż uczeń uczący się z zapałem języka rosyjskiego i upowszechniający radziecką (!) literaturę może być wrogiem? Obrońcy przypomnieli moje osiągnięcia recytatorskie z okazji rocznicy rewolucji – miałem tam „słowo wiążące”, w którym niepoślednie znaczenie miał wystrzał Aurory.

W dalekiej przyszłości, już po rozpadzie Związku Radzieckiego, postanowiłem zobaczyć ten symbol rewolucji. Nigdy nie było mi dane oglądać Leningradu, ale zaniedbanie to los mi wynagrodził i odwiedziłem Sankt Petersburg. Wtedy to z przyjacielem Bogdanem postanowiliśmy z nawiedzić Aurorę, sprawcę prapoczątku epoki wielkiego uszczęśliwiania światowego proletariatu. Trzeba zobaczyć zwłaszcza to działo, którego wystrzał wstawił w odpowiednie ramy znaczną część naszego życia. Na planie miasta odnajdujemy miejsce zakotwiczenia okrętu – „Kreiser Awrora”. W pobliże docieramy metrem. Wyobrażaliśmy sobie, że po wyjściu ze stacji drogowskazy doprowadzą nas do tej świętości proletariackiej. Żadnych drogowskazów nie było.

– Jak dotrzeć do krążownika Aurora? – pytam dwoje młodych ludzi. Nie wiedzą; może w porcie wojennym, bo jak krążownik to tylko tam. Trzeba zapytać kogoś, kto wygląda przynajmniej na czterdziestolatka. Musiał przecież jako pionier czy komsomolec nawiedzić to święte miejsce raz w życiu, jak muzułmanin Mekkę. Typujemy odpowiedniego mężczyznę – też nie wie. Żadna z pytanych następnych kilku osób nie umiała odpowiedzieć na nasze pytanie. Pięć lat po upadku pierwszego państwa socjalistycznego nikt nie potrafił powiedzieć gdzie znajduje się okręt, od którego zaczęła się ta cała awantura. Lenin się w mauzoleum przewraca!

Zorientowawszy plan miasta w terenie ruszyliśmy nabrzeżem w przypuszczalnym kierunku. Po drodze spotkaliśmy malarza amatora, Wołodię, który chciał nam sprzedać coś ze swojego dorobku artystycznego. Do aktu kupna - sprzedaży nie doszło, natomiast Wołodia był chętny do rozmowy i zabrawszy pod pachę swój dorobek malarski, poprowadził nas w kierunku okrętu. Jako były matros przybliżył realia służby na okręcie wojennym, i na tej podstawie wysnuł własną hipotezę na temat związku Aurory z wybuchem rewolucji, a głównie wystrzału z działa.

– Nikt naprawdę nie wie jak to było z wystrzałem z Aurory – stwierdził Wołodia. – Nie jest również znane nazwisko marynarza, który wystrzelił z działa. Czy w takim kraju jak nasz jest możliwe pozostawienie takiego bohatera anonimowym?

Podstawową rolę w rzuceniu hasła do wybuchu rewolucji przypisywał Wołodia regulaminowi carskiej marynarki wojennej. Istotny dla dalszej opowieści przepis regulaminu został niestety usunięty po drugiej wojnie światowej, przed jego, Wołodi, służbą w marynarce. Otóż carski regulamin zapewniał matrosowi dwieście gram wódki na dobę, rano sto i wieczorem sto. Dla matrosa to tyle co nic. Zapewne rada żołnierska Aurory zwiększyła przydział wódki do czterystu, a może i więcej gramów. W tym historycznym, a jak pisał poeta przenikliwie zimnym dniu, zmarznięty marynarz na wachcie oczekiwał na

zmianę, a być może na swój stakan wódki, bo nadeszła właściwa pora. Zniecierpliwiony chciał kogoś przywołać i zamiast wajchy alarmowej użył wajchy, tej od strzelania. Padł strzał. Matros uciekł. Choć Wołodia dopuszczał inną możliwość – komisarz polityczny zastrzelił matrosa za samowolę. Potem kiedy dorobiono do wystrzału z Aurory całą ideologię, sprawca już nie żył. – Z miejsca gdzie stała Aurora i tak nie można trafić w Pałac Zimowy – zakończył Wołodia rozważania o roli przypadku w tworzeniu historii.

– Przecież to był ślepy nabój.

– Nie ważne, ślepy czy ostry. Wystrzał to był czysty przypadek! – podsumował Wołodia.

Słuchając opowieści Wołdi dotarliśmy do Aurory. I tu spotkał nas zawód. Okręt zamknięty dla zwiedzania – „sanitarny dzień”. Nie udało się ustalić czy działo, które zmieniło historię, ma do strzelania przycisk czy wajchę i czy łatwo je pomylić? Pewnie Wołodia ma rację. Pragnąc wynagrodzić naszemu przewodnikowi stracony czas i ewentualne zarobki, a i odkrywcość spojrzenia na historię, zakupuję w umiejscowionej na nabrzeżu naprzeciw Aurory budce z prasą, suvenirami i napojami odświeżającymi kilka puszek dżinu z tonikiem. Sprzedawczyni proponuje „butyłku samogończyka”, zachwala że tańszy i skuteczniejszy. Wierzę i wiem, ale lepiej nie ryzykować. Może kiedyś tu wrócę i

chciałbym zobaczyć układ wajch historycznego działła Aurory. Może nie trafię na sanitarny dzień.

Józkowe buty

Lato czterdziestego piątego roku. Znowu przyczepiła się do mnie jakaś choroba. Pewnie po przeziębieniu. Ale jak tu mówić o przeziębieniu w środku lata. Gorączka po południu i w nocy. Majaczenia. Dziadek postawił mi bańki. Jeden dzień było lepiej. Potem znów gorączka i kaszel, i duszno. Przez dwa tygodnie ojciec woził mnie do doktora Szenkera na Stacji. To był znany doktor, na całą okolicę. Już leczył mnie „na nogę” na początku wojny. Pamiętam go jeszcze sprzed wojny, w niedzielę po południu jeździł bryczką na karty do księdza proboszcza. Głowę miał łąsą i zawsze bez czapki, nawet zimą przy mrozie. Nie do pojęcia było, że ksiądz proboszcz zadawał się z takim lutrem, bo doktor nie był katolikiem, ale właśnie lutrem. Aż dziwne, że ten doktor był Polakiem. Niemcy chcieli zrobić go Niemcem, a on na to nie przystał. Zaraz po wojnie ucięli mu nogi bo usychały i teraz jeździł na wózku. Służąca mówiła, że przed ucięciem, nogi tak bardzo go bolały, że krzyczał nocami.

Doktor dawał mi różne zastrzyki do żyły, na wzmocnienie. Przy zastrzykach robiło mi się ciepło na czubku głowy. – „To dobrze – myślałem – zastrzyki rozgrzewają chorobę w piersiach”. Ale tak do końca nie wierzyłem

temu doktorowi. Bo jeśli sam nie potrafił wyleczyć swoich nóg, to jak może wyleczyć innych. I wyszło na moje. Doktor powiedział ojcu, że już zastrzyki nie pomogą, bo zrobiła się ropa w prawym płucu. Trzeba jechać do Krakowa. I znów trafiłem do tego samego szpitala Świętego Ludwika co przed czterema laty.

Wspomnienia przyciemnione majakami gorączkowymi. Siostra, zakonnica, mierzy gorączkę. – „Znowu masz trzydzieści dziewięć” – martwi się. Żeby ją pocieszyć, przy następnym mierzeniu owijam termometr koszulą i wkładam pod pachę. Ucieszyłem siostrę: – „Już ci pewnie lepiej! Bo gorączka mniejsza.” – Gdzie tam lepiej, ale przynajmniej siostra się ucieszyła.

Prześwietlenie pokazało wodę w prawym boku. Doktor wbił mi grubą igłę między żebra. Prawie taką jak wbija się rozdętej krowie po obżarciu młodą koniczyną. Bałem się ruszać bo doktor przebije mnie tym szpikulcem na wylot. Wyciągnął pełną strzykawkę ropy. – „Popatrzcie, jaka ropa!” – ucieszył się pokazując asyście i mnie szprycę wielką jak flaszkę, wypełnioną czymś żółtawym. Z czego mi tam było się cieszyć. Zresztą rozpromieniony doktor wcale nie czekał na moją reakcję. Byłem wystraszony i trochę zdziwiony, że tak mało bolało. – „To jest cała choroba!” – obwieścił otoczeniu. Nie wiem dlaczego doktora ucieszyło takie świństwo w moim boku. Jeszcze do tego powiedział, że

zrobią mi operację. To pewnie już mnie całkiem dorżną. Doktorzy to dziwni ludzie, cieszą się z cudzego nieszczęścia, choćby z takiej ropy jak u mnie.

Przenieśli mnie do św. Łazarza na brudną chirurgię. Olbrzymia sala chyba na 40 chorych w baraku pełniącym wcześniej rolę niemieckiego lazaretu wojskowego. Główne wspomnienie to pluskwy i karaluchy. Całą noc świeci się światło, jeśli jest prąd. Każda nocna ciemność owocuje gęstwą karaluchów na ścianach i pluskiew na pościeli chorych; te podobno spadają z sufitu. Pewnie od tych pluskiew i karaluchów jest nazwa brudnej chirurgii. Pluskwy są wskaźnikiem zdrowienia – gryzą tylko najzdrowszych. Tych co pluskwy nie gryzą czasem odgradza parawan.

Pacjenci tego baraku to ludzie z zastarzałymi chorobami i urazami z wojny. A i z nowymi. Ci co trafili na miny, postrzeleni, pokiereszowani granatami i odłamkami bomb lub rozbijali niewypały. Kiedyś opatrzeni tymczasowo, teraz czas na doleczenie. Prawie każdemu coś tam ropieje. Sąsiad cieszy się, że pluskwy zaczęły się do niego dobierać. Bo umarłaków pluskwy się nie imają.

Męczony majakami gorączkowymi, dwunastoletni chłopak, widzę pluskwy wielkie jak żółwie, włożą na mnie, duszą. Ale nie wierzę w pluskwiane wróżby. Nie wierzy też ojciec, podkarmia mnie rosółem i mięsem z „młodzioków” – kilkudniowych gołębic piskląt, i kompotem z jabłek, do

którego dołożył masła – niech się chłopak odżywi. Nie wierzy matka wymadlając dla mnie ratunek u Matki matek.

Operacja. Budzę się w mojej pluskwianej sali. Wypuścili ze mnie ropę i całą chorobę. Jeszcze ropa wycieka ze mnie gumową rurką do flaszki z wodą. Wszyscy „ruchomi” chorzy, choć czasem beznodzy i bezręcy, pełnią kolejno przy mnie dyżur jedną i drugą noc. Inni przykuci do swoich prycz oczekują na wieści. Cieszą się, gdy ktoś ogłasza komunikat: – „W nocy pogryzły go pluskwy. Wyżyje!”.

Zdrowieję. Likwidują mi przydział białego chleba i kawy z mlekiem na śniadanie i na kolację. Dostaję zwykłą dietę – czarny chleb i czarną kawę zbożową, nie słodzoną. Co mi tam, mogę zjeść konia z kopytami. Swój biały przydział oddaje mi Warszawiak. Wesoły, uczynny chłopak, ma 18 lat. Jego pluskwy nie gryzą. Podziurawiony odłamkami granatów w powstaniu, co jakiś czas wyłuskują mu te odłamki, czeka na wydłubanie tego największego z głowy, od niego ma chorobę świętego Wita. Otwierają mu się coraz to nowe wycieki ropy, z niektórych wychodzą kawałki żelaza. Na wizycie doktorzy mówią: sepsa, – to pewnie jakieś pogorszenie. Prontosil, nowy cudowny lek mu nie pomaga, mnie też go dawali. Warszawiak podobno dostanie jeszcze cudowniejszy, jakąś „celinę”. Napady gorączki powtarzają mu się codziennie po południu. W majakach gorączkowych ciągle walczy z Niemcami, ucieka z łóżka, chowa się

przed ostrzałem, woła nas do ataku. Któregoś ranka zobaczyłem jego łóżko puste. Nie wiem kiedy oddzielił nas parawan.

Łóżko po Warszawiaku zajmuje Józek, przyjechał skądś z gór. Mają mu zrobić operację na nogi. Nie znoszę go, jakby to była jego wina, że zmarł Warszawiak. Józek nie chodzi, przynajmniej od czasów jak sięga pamięcią. Nauczył się chodzić „na rękach”, za sobą ciągnie nogi skurczone w kolanach. Na stopach nie staje, nogi nie dadzą się wyprostować, a na łydkach prawie żadnego mięsa. Na dłoniach ma skórę twardą jak u innych na piętach, grzbiety stóp i palce pełne blizn. Jak wszurał się do sali to miał zdarte grube, wełniane skarpety z naszytymi kawałkami skóry na podbiciu.

– Trudno po tych tretuarach chodzić, „nadeszwy” mi się zdarły, nogi się pokancerowały. Popatrz jakie pokrwawione! – opowiadał sadowiąc się na łóżku. – Nie wiesz co to są „nadeszwy”? To takie podeszwy, ale na wierzch, na podbicie. – Pokazuje łatki rzemienia przyszyte na podbicie i na nosy kierpców. – Sam je wymyśliłem. Mnie podeszwy tam gdzie inni je mają na nic nie potrzebne.

Józek jest ode mnie starszy, pójdzie do siódmej klasy. Pójdzie, bo tak się mówi. Jeszcze niedawno matka zanosila go do szkoły.

– Zimą było dobrze. Matuś ciągnęli mnie na sankach. Najgorzej było zwiesny i na jesień. Często Matuś mnie przebierali w szkole, bo ciepnęło nas w błoto – opowiadał Józek.

– „Z takim starym koniem na plecach musi ciepnać” – komentuję w myśli opowieść Józka, zły, że zajął łóżko Warszawiaka.

Józek przeszedł rękami i przeszurał nogami ulicę Lubicz i Strzelecką. Kraków nie jest mu przyjazny, wszędzie beton i bruk. Ale Kraków daje nadzieję. Może jeszcze nie późno. Pokrwawił drogę do tej operacji mało bolącymi stopami. Nie ochroniły ani grube skarpety z nadeszwami, ani kierpce. Każdy krok na rękach z przeciąganiem nóg do przodu. Ręce ma silne, zastępują nogi, zawsze wspomagały nogi. We wsi mało kto dał mu radę „na rękę”. Józek jest pogodny i przyjazny wszystkim. U siebie we wsi jest sietniokiem, choć rozum ma normalny.

Matuś bywa u Józka prawie codziennie. Czasem przycupnie na noc w nogach łóżka lub na łóżku sąsiednim, właśnie zwolnionym pluskwim zrządzeniem. Słyszę jak Matuś opowiada co tam się dzieje w domu i we wsi. Nie ma wiadomości z Czerwonego Krzyża o ojcu, zabrali go Niemcy już pod koniec wojny, ale pewnie wróci.

Matusi marzą się buty dla Józka. Buty z cholewami. Oficerki. Takie jak mało kto ma we wsi. – „Obstałowałam ci buty z cholewami. Takie z gienzowej skóry. Będą gotowe zaraz po operacji” – informuje szeptem.

– „Matusi nie trzeba było. Takie wydatki teraz. Trzeba by poczekać. Nogi mi jeszcze się zmieniają, urosną”. – W słowach Józka przebija zwątpienie, nie ma w nim wiary matki.

– „Przecież szewc wziął ci miarę, buty zrobi na wyrost. Bo taka skóra to droga. Nogi to ci na pewno urosną. Ale ze dwa lata pochodzisz. Potem to ja je donoszę” – usprawiedliwia swą decyzję Matusi.

Przychodzą różni doktorzy badać Józka. Młoteczkami uderzają po kolanach. Wbijają igły w nogi. Dla Józka to nic. Nie mam już żalu, że zmienił Warszawiaka. W nocy Józek szepcze do mnie:

– „Nigdy jeszcze nie miałem prawdziwych butów. Nie wiem jak się w takich butach chodzi. Matusi chcą tych butów. Mnie one pewnie na nic... Choć bym tak chciał... Dla Matusi. Zawsze będę sietniakiem, choć rozum mam dobry”. – W wywodzie Józka wyczuwa się nadzieję, że rozproszę jego obawy. Udaję, że śpię i nie słyszę. Nie jestem na tyle dorosły, żeby umieć przekonywać do nieprawdy.

Wypisali mnie ze szpitala. Obchodzę w koło czterdziestoosobową salę. Przeżyłem tu dwa miesiące i choć szczeniak, to stary wyjadacz szpitalny, weteran. Życzę wszystkim stałego gryzienia przez pluskwy.

Józkowa Matuś siedzi obok pustego łóżka. Spogląda na kamienicę za oknem. Tam Józkowi robią operację. Buty, oficerki z gienzowej skóry, czekają w nogach łóżka.

O sławojkach w Europie i Azji

Przed wojną sławojki (od Sławoja – imienia ministra i premiera rządu) były nakazanym elementem higienizacji wsi. Ich istnienie w gospodarstwach wiejskich sprawdzali specjalnie do tego powołani inspektorzy. W wielu gospodarstwach jeszcze długo chodziło się „za stodołę”. Wybiegając w przyszłość, obyczaj chodzenia „za stodołę”, a właściwie w przypałacowe krzaki pegeeru, nieomal stał się zarzewiem strajku studentów pomagających w wykopkach ziemniaków i to w szczytowym etapie budowania socjalistycznego państwa.

Zwiedzałem zamek Stolpen w Saksonii i wtedy po raz pierwszy usłyszałem o intymnym pomieszczeniu, o którym nie wypadało opowiadać młodzieży, a ze dwa takie zamki zwiedzałem wcześniej w wieku młodzieżowym. Na szczycie jednej z wież zamku mieściły się apartamenty hrabiny Cosel, faworyty króla Augusta II Mocnego, więzionej tam przez prawie pięćdziesiąt lat do połowy XVIII wieku. W posadce bocznej wieżyczki jednego z pomieszczeń apartamentu, pewnie buduaru, znajduje się zakratowany otwór, nad którym podobno

uformowane było drewniane siedzisko dostosowane do postury dostojnej faworyty. Przez ten otwór leciały w dół dostojne wydaliny dostojnej więźniarki znacząc smugami ścianę wieży. Można przypuszczać, że przebywanie w takim momencie u podnóża wieży mogło wiązać się z niezwykłymi doznaniem.

W przyszłości, dalszej od opisanego zwiedzania zamku Stolpen, podróżowałem po Mongolii. Ustalenie miejsca ulokowania sławojki „na etapach”, uważałem za istotne zadanie dla zapobiegliwego podróżnika. W powieściach i filmach podróżniczych pomija się zwykle tak ważne problemy życiowe wynikające z naturalnej kolei rzeczy potrzeby jedzenia i picia. Kiedyś znalazłem się nad jeziorem Chubsuguł w mongolskiej części Buriacji w miejscowości (nazwy nie pomnę) będącej stolicą ichniego powiatu. Późną nocą dotarliśmy do hotelu, którego rolę pełnił przysadzisty parterowy budynek z solidnych drewnianych okrągłaków. Przed wejściem obszerny taras, na który prowadzą drewniane schody, a po ich obu stronach poziome żerdzie osadzone na drewnianych palach – koniowiązy, jak w westernach przed saloonem. Nieco na uboczu obszernego placu zadaszona wiata, zapewne też dla koni. Teraz parkuje tam nasz gazik. Tak pewnie wyglądały etapowe stacje dyliżansów.

Mój pokój ma około 30 metrów. Zapoznaję się z instrukcjami użytkowania „numeru hotelowego” wydrukowanymi na błyszczącym kartonie w trzech językach: mongolskim, rosyjskim i angielskim. Instrukcję dotyczącą

zasad posługiwania się windą (w parterowym budynku!) postanowiłem przestudiować następnego dnia. Ważniejsza była instrukcja dotycząca użytkowania łazienki i WC. Nakazywała przed opuszczeniem pokoju zakręcić wodę. W kącie pokoju stała pedałowa umywalka. Poszukiwanie WC zostało uwieńczone sukcesem dzięki odtworzeniu z pamięci obrazu wejścia na taras zajazdu. Tam widziałem strzałkę z dwujęzycznym napisem wskazującym kierunek do „Tualiet”. W kącie podwórza za wiatą dla koni odkryłem dwustanowiskową „sławojkę” zbudowaną z solidnych drewnianych bali. Opracowałem strategię działania na wypadek nagłej a nieprzewidywalnej potrzeby odwiedzenia toalety. Strategia była prosta – należy tę potrzebę przewidzieć z odpowiednim wyprzedzeniem, następnie ubrawszy się jak na bieguna, bo mróz prawie 30 stopni, podążyć we właściwym kierunku.

Wcześniej, również w Mongolii, zdobyłem niezwykle doświadczenie związane ze spełnianiem części procesów związanych z przemianą materii organizmu człowieka. Wczesną jesienią zapragnęliśmy z kolegami przeżyć pod namiotem kilkudniową przygodę na łonie natury. Namiot udostępnił ambasador Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii, który z braku innych zajęć poddawał siebie i żonę próbom przetrwania w stepie. Uzyskawszy odpowiednie zezwolenia, wyjechaliśmy gazikiem pod opieką kierowcy, zresztą pracownika właściwych służb Mongolii.

Wczesnym rankiem, po długotrwałych „nocnych Polaków rozmowach”, wyszedłem z namiotu i skierowałem się w dół wzniesienia w stronę kępy wysokiej, żółknącej już trawy, którą uznałem za „ustronne miejsce”. Było ono celem i dosyć nagłą potrzebą mego spaceru. Czyż nie jest przesadą poszukiwanie ustronnego miejsca w stepie? Po przygotowaniu, dla potrzeb właściwym, oddałem się błogiej kontemplacji.

– „Sajn bajn-nuu”! (Witaj, dzień dobry!) – słyszę głos kobiety z pobliza.

Zatkało mnie obustronnie. W kępie traw, odległej o jakieś 50 metrów, widzę kobietę, również w pozycji kucznej, macha do mnie ręką. Jako człowiek dobrze wychowany, i pochlebiam sobie dżentelmen, wykrztusiłem:

– „Sajn! Sajn bajn-nuu!”...

Jak w tak intymnej sytuacji dalej prowadzić konwersację, aby nie wyjść na niewychowanego głąba?... Sztaudynger pisał: „Jeśli komuś spadną spodnie, już je trudno podnieść godnie”. Mnie wprawdzie same nie spadły, ale o godność trudno. Po chwili, dla mnie wieczności, Mongołka z gracją uładziła swą garderobę, pomachała w moim kierunku ręką i pobiegła z boczem do stada owiec, które dopiero teraz dojrzałem w dolinie.

Trzeba mieć wiele szczęścia, aby w tak mało zaludnionym kraju jak Mongolia, w którym na kilometr kwadratowy przypada jeden człowiek, a w stepie (po odliczeniu miast) mniej niż pół człowieka, w tym ćwierć kobiety,

doszło do tak znacznego przeludnienia, że nie można znaleźć ustronnego miejsca.